

Marek Pakciński

Melodia śmierci

Z „Nowa Fantastyka” - Grudzień 1990

Wnętrze karczmy oświetlone ruchomymi płomieniami pochodni wetkniętych w otwory w ścianach zdało się Alamowi infernem. Odblaski ognia o nasyconych barwach czerwieni i złota przemieszczały się po chropowatej fakturze niskiego, półkolistego sklepienia, wytwarzając na jego powierzchni groźny teatr cieni. Od strony ław skupionych po lewej stronie dochodziły chrapliwe okrzyki podochoconych bojarów. Zwłaszcza głos jednego, niski, z południowym jakby zaśpiewem, przebijał się ponad panująca wrzawę.

- A ja wam powiadam - tokował - iż ten młokos to diabeł w ludzkiej skórze! Widziałem ja go, tak jak was tu teraz, gdy wydawał rozkaz zamordowania umiłowanego brata naszego, Andrzeja. Gdybyście mogli zobaczyć wtedy jego oczy! Na całe moje życie, na życie moich córek i synów klnę się, iż nie było w tych oczach nic prócz nieskończonej żądzy władzy! Bracia, powiadam wam, to nie regentka poddała mu ten szaleńczy pomysł, iżby obwołał się carem, by uczynić zadość przepowiedni tego mnicha... to on sam.

- Prawdę mówię! - krzyczał następny brodac. - Inni bywali dawniej gosudarowie, silni nie diabelską mocą strachu, lecz mocą Chrystusową! Tydzień nie minął nawet od chwili, gdy za jedno odezwanie, co nie spodobało się carowi, wyrwano język zacnemu i mądrymu mężowi, Atanazemu!

- Cóż się z nami stanie, gdy damy tak sobą pomiatać...? - zdołał wtrącić drżącym, starczym głosem patriarcha jednego z bojarskich rodów. Dźwięk tych cichych i jakby zaskakująco spokojnych słów nie zdołał jeszcze wybrzmieć pod sklepieniem, gdy w czeluści schodów, wiodących do karczmy z ulicy, rozległ się pośpieszny tupot rozlicznych kroków. Słyszając ten odgłos, skupieni wokół ławy bojarzy rozproszyli się gwałtownie, jak stado ptaków spłoszonych przez drapieżnika.

- Zdrada! Zdrada! - wykrzyknęło kilku zdławionymi głosami.

Ich obawy nie były płonne. Do izby wpadło sześciu żołnierzy z pochodniami, zbrojnych w miecze, tarcze i ubranych w kolczugi. Przez chwilę mrużyli oczy, przyzwyczajając je do półmroku, po czym, rozpoznawszy tych, po których dusze przyszli, ruszyli do ataku.

- Gińcie, psy, z wyroku cara! - wykrzyknął dowódca. W ogólnym rozgardiaszu nikt nie zwrócił uwagi na siedzącego samotnie przybysza o wyglądzie mieszczanina, który w ciągu kilku chwil przemieścił się niezauważalnie w kierunku środka ławy. Dłonie Alama zginęły pod dębowym blatem, jakby czegoś poszukując. Miało to zaskakujący zaiste skutek: żołnierze dopiero w ostatniej chwili dostrzegli potężny dębowy blat, zmierzający w ich stronę z potworną prędkością. Na reakcję było już za późno. Ława wyrwana jakby z korzeniami i pchana siłą rozpedzonego ciała przybysza w czerni, przygniotła zbrojnych. Pierwszy stracił świadomość już w momencie uderzenia, wklonowany pomiędzy blat a kamienną ścianę. Rozległ się chrzęst blach, okrzyki i jęki. Dwaj następni żołnierze zginęli od cięć łyskającego stałą, szybkiego miecza o mauretańskim kształcie, który stanowił własność Alama; nie zdołali nawet wyzwolić rąk dla obrony przed ciosami. Dwaj kolejni, nie wygramoliwszy się na dobre spod ławy, padli za sprawą uderzeń zakrzywionych mieczy bojarów.

Jedynie ostatni, pchnięty na schody, nie tylko nie zrejterował, lecz poderwawszy się szybko na nogi ruszył z furją na głównego sprawcę kłęski. Alam cofnął się pod naporem, znalazłszy się nagle w nader niekorzystnej sytuacji. Pozbawiony tarczy, z najwyższym trudem parował pełne furii cięcia przeciwnika. Dopiero bojarzy, otrząsnąwszy się z osłupienia, zmacali pod kolczugą żołnierza nie osłonięte miejsca i ciosami sztyletów powalili go na ziemię.

W infernalnej komnacie zapanowała ciężka cisza, przerywana chrapliwymi oddechami podnieconych walka i zmęczonych mężczyzn. Ta cisza przedłużała się, bojarzy kierowali pełen zdziwienia wzrok na skromnego mieszczanina w czerni, wycierającego teraz swoje mauretańskie ostrze w skraj szaty żołnierza. Jeden z milczących widzów obudził się wcześniej od innych.

- Uchodźmy stąd! - rzucił hasło, które powołało do życia bezwolne dotychczas figury. Poruszyli się, pochowali miecze i szmerząc coś między sobą zmiierzali ku wyjściu.

- Hospodi, pomiłuj, Hospodi, pomiłuj, Hospodi, pomiłuj...! - dał się słyszeć jęklivy lament oberżysty, który czynił znaki krzyża stukając zarazem głową w kamienna posadzkę.

- To za gościnność! - jeden z bojarów rzucił mu kilka monet. - I uchodź stąd, pókiś żywy!

Tylko tajemniczy mieszczanin w czerni stał wciąż pośrodku komnaty, samotny, w zamyśleniu nadal wycierając swój miecz. Jeden z bojarów, pod którego zarostem dostrzec można było młode jeszcze i żywe oblicze, dotknął jego ręki.

- Dziękujemy ci... - powiedział. - Wyjaw, jak cię zwa, byśmy wiedzieli, komu winniśmy wdzięczność... Nieznajomy wzruszył ramionami.

- Nazywają mnie Alam. A co do tego, co się zdarzyło, to po prostu mieliście szczęście - odparł z dziwną bezpośredniością, która jednak nie zraziła rozmówcy. - Ilekroć mam ochotę i siłę do zwady, słyszę w głowie jakąś prastare melodię przedziwnej piękności. Teraz przyszło to akurat wtedy, gdy znaleźliście się w opałach.

- Melodia, która ratuje innym życie, musi pochodzić od samego Boga Ojca - oznajmił bojar z głębokim przekonaniem. Mieszczanin w czerni odwrócił na chwilę twarz, aby ukryć uśmiech. Nie ruszał się z miejsca, a bojar tkwił przy nim, jakby ważąc coś w myśli. Od podłogi szło nieprzerwane, jęklive zawodzenie oberżysty.

- Widziałeś, do czego są zdolni... - powiedział w końcu młody bojar, trącając nogą trupa najbliższego z żołnierzy. - Jeśli wydarzenia potoczą się dalej w ten sposób, a nie przeszkodzą im moce niebieskie, car gotów stać się satrapą, jakiego nie znała historia... - Po chwili milczenia rzucił gwałtownie, jakby wyzbywając się resztek wątpliwości: - Przystąpisz do nas?

Zamiast odpowiedzi tajemniczy mieszczanin w czerni pociągnął go za skraj szaty ku wyjściu. Znaleźli się na schodach, nie oświetlonych nawet łuczywem, nadzwyczaj stromych i wąskich.

- Przystąpiłbym... - rzucił Alam w stronę idącego za nim bojara - jeśli mi zaufacie...

- Twoja dzisiejsza waleczność najlepszym jest dla nas glejtem... - wysapał szlachcic. - Wyjawię ci czas i miejsce naszego następnego spotkania... Będzie ostatnim przed zawiązaniem spisku... - te słowa wyrzekł już całkiem cicho, pociągnął Alama ku sobie i wyszeptał mu coś do ucha. Potem wyszli na zamierającą o wieczornej porze ulicę. Bojar przez kilka dobrych chwil patrzył w oczy Alama, lecz nie wyczytał z nich nic oprócz mocnego postanowienia.

- Rozdzielimy się tu - powiedział. - Jeśli nas wspomozesz, wynagrodzimy ci to stokrotnie - później...

- Nie o nagrodę tu chodzi! - zachnął się Alam. - Rzecz w tym, że ci koryfeusze porządku zanadto swawolą. Ale nie martwcie się, ostatnio coraz częściej słyszę dziwną muzykę w swojej głowie. - Zaśmiał się i odpowiedziawszy pokłonem na pokłon bojara zniknął w półmroku.

Szedł wąskimi uliczkami cesarskiego grodu, kryjąc się pod kolumnadami drewnianych podcieni, jakby strunami wielkiej harfy, na której grata mroźny wiatr. Pamiętaj i słuchaj monarcho prawosławny... dwa Rzymy upadły, trzeci stoi, czwartego nie będzie... - te słowa powracały teraz do niego, niczym gorzki zaśpiew. Z rzadka jedynie wychodziły z podcieni okutane w skóry postacie ludzi, którzy przechodzili mimo, nie patrząc w oczy mijającego ich człowieka. Alam wstrząsnął się, jakby poruszył nim wewnętrzny dreszcz. To miasto było mu obce, coraz bardziej obce od chwili, gdy Brat Nauczyciel i ihumen Artemiusz zostali uwięzieni w monasterach Północy. Odtąd coraz rzadziej spotykał na ulicach braci światła, a jeśli już, to zalęknionych, o oczach zezwierzęconych strachem, pozbawionych, ożywczego związku z Księgą..

Jakby przypomniawszy sobie o czymś przystanął i rozejrzał się wokół. Począł, aż z suchym klekotem dzwonek minął go sanie, ciągnięte przez parę koni. Następnie narzucił na głowę kaptur i ruszył szybkim krokiem w boczną uliczkę. Gdyby ktoś obserwował go z góry, dostrzegłby, iż poprzez pasma półmroku, przez kratę uliczki i bramy zmierza w stronę carskiej siedziby.

Światło wysokie, jasne i rozlane pochłaniało wszystko wokół. Skupione w kolumny o różnej wysokości, uciekało w górę, ku niebiosom burym od dymu. Niżej, drgające i ruchliwe, tworzyło delikatne konstrukcje architektoniczne, złożone niczym materia, ukształtowana pracą ludzkich rąk, która właśnie obracało wniwecz. Towarzyszył temu głęboki, dudniący huk, jak szum wzburzonego morza. Nikły w nim ludzkie nawoływania, odgłosy panicznej krzątaniny człowieczych mrówek, pragnących uratować resztki swego dobytku. W tym huku gubił się nawet przerażający krzyk płonących żywcem.

Miasto ginęło. Ruchome ściany ognia zżerały drewnianą Moskwę dom po domu. Co więcej, ogień pozwolił sobie na pewnego rodzaju rozrzutność: tworzył zawirowania, strzępy, grzebień, jakby uobecniając przed oczami przerażonych ludzi fragmenty jakiegoś nieznanego świata. W otwartych nagle czeluściach płomieni jawiły się kształty ciemniejsze, prawie czarne, niczym postacie ognistych demonów. Na tle tego niesamowitego spektaklu ludzka krzątanina zdawała się czymś zgoła nieważnym. Gdzieś

próbowano wyciągnąć wrzeszczącego spod drewnianej kłody, którą lizały już odnogi płynnego blasku. W górze człowiek w złocistej szacie chwiał się na linie, spuszczały na brzeg rzeki przez wiernych służących, którzy dusili się od dymu w niewielkim okienku płonącego monasteru.

Pośród morza ognia i wypalonych zgłiszcz, na których pożar tlił się szaroniebieską mgłą, w pobliżu Soboru Uspienskiego zgromadził się tłum. Okrzyki i wrzawa nie były tu tak chaotyczne, jak w innych rejonach miasta, nader często powtarzało się artykułowane z wyraźną nienawiścią nazwisko "Gliński". Tłum falował. Nagle w którymś miejscu, w pobliżu centrum zgromadzenia, to falowanie przeszło we wrzenie. "To on" - krzyczano wokół. Można było dostrzec, jak jakiś człowiek w długim płaszczu, nie bity jeszcze, lecz brutalnie szturchany, usiłuje wydostać się z kręgu narastającego gniewu. Im bardziej napierał na otaczający tłum, tym bardziej bezwzględny - choć pozornie przypadkowy - stawiano mu opór. W końcu, objając się pomiędzy ludźmi jak łódź w kanale portowym podczas huraganu, zdołał wydostać się na zewnątrz. Pobiegł w kierunku otwartych wrót cerkwi o spalonym dachu. Wtedy tłum ruszył w pogoń. Niewielką odległość od cerkwi człowiek w płaszczu pokonał z trudem, potykając się. Kilkakrotnie z przerażeniem oglądał się wstecz, po czym przyspieszał; za nim mrowiły się ludzkie twarze wykrzywione wściekłością i bólem po stracie najbliższych.

Nim dopadli go przed bramą cerkwi, wbiegł w nią ostatkiem sił, omal nie przewróciwszy się na podeście schodów. Jeszcze chwila, i czoło pędzącego tłumu również zanurzyło się w głębi świątyni. Po chwili ludzki kłęb wy dobył się z niej ponownie. Człowiek w płaszczu, schwytyany już przez prześladowców, padł na twarz przed wrotami cerkwi. Dopadnięto go tam, bito i kopano. Podnosił się i padał. I znów ponad wrzawę, ponad dudniący huk płomieni, wydobyło się skandowane z jadem nienawiści nazwisko "Gliński". Wreszcie na leżącego człowieka padły pierwsze kamienie. Próbował jeszcze chronić głowę, ale kamieni było coraz więcej, w końcu przykryły go, nieruchomego. Nie dano mu jednak spokoju. Dwóch ludzi odgarnęło kamienie, po czym dźwignęło pod pachy swą ofiarę, wlokąc ją triumfalnie w stronę miejsca straceń. Tłum krzyczał; oczy tych ludzi, niedawno pijane rozpaczą, były teraz ogłupiałe od bezmyślnej radości. Wreszcie zwłoki mężczyzny w płaszczu zakończyły swą ostatnią, ponurą drogę. Rzucony na ziemię obok pała, do którego przywiązano schwytyanych przestępców, leżał tam teraz, nieruchomy i bezbronny.

Po wyczerpaniu gestów nienawiści tłum poruszył się tknięty nową myślą. Nie milkły okrzyki, obarczające Glińskich odpowiedzialnością za to, co się stało. Niczym oczywisty wniosek pojawiła się myśl, by szukać zemsty na pozostałych przy życiu członkach rodziny. Ruszono zatem w kierunku ich siedziby. Po drodze ludzie ci - teraz jedynie cząstki tłumu - podnosili z ziemi kamienie, drąga, nadpalone deski. Wszystko to odbywało się pod czarnym od dymu niebem, przy akompaniamencie nieprzerwanego ni to szumu, ni to dudnienia pożaru.

Dom Glińskich również płonął. Ogień, przeniesiony wiatrem z pobliskich zabudowań, trawił właśnie dach, rozprzestrzeniając się coraz bardziej. Służba i dworzanie Glińskiego próbowali właśnie wynosić z budowli dobytek, dlatego dopiero w ostatniej chwili dostrzegli zbliżanie się uzbrojonej grupy, gdy dosięgły ich pierwsze kamienie. Ci, którzy natychmiast rzucili się do ucieczki, zyskali szansę przeżycia. Pozostali, okrążeni przez tłum, chronili się niezdarnie za rozrzuconymi po placu tobołkami, bądź też wbiegali do płonącego domu. Co odważniejsi lub co bardziej zaciętrzewieni spośród tłumu wbiegali tam za nimi. Padły pierwsze ofiary. Wśród zamieszania i chaosu nikt nie dostrzegł, że okiennice w jednej z izb prawego skrzydła domu, zajętego już przez ogień, otworzyły się z trzaskiem. Drewniane framugi, przepalone żarem, runęły na ziemię. Za ścianą płomieni dostrzec można było krzyżącą, młodą kobietę o włosach jasnych jak len, lecz znikąd nie mogła się już spodziewać ratunku. Okrążona przez ogień, zasłaniając twarz, kulila się w kącie izby. Wtem z bocznej uliczki wybiegło dwu mężczyzn w czarnych habitach. Błyskawicznie, nie zwracając na nikogo uwagi, podbiegli do ściany płonącego domu. Jeden z nich wspinał się po plecach drugiego i zniknął we wnętrzu komnaty, w której była dziewczyna. Nikt nie dostrzegłby nawet momentu zawahania w jego działaniu; ścianę płomieni przy oknie, która zwykłego człowieka zmusiłaby do wycofania się, przeniknął jednym-skokiem. Po chwili wyłonił się, trzymając zemdloną dziewczynę i chroniąc ją połamami swego habitu przed żarem. Zeskoczył na ziemię. Ciężar rzucił go na kolana, ale podniósł się zaraz, przekazał zemdloną dziewczynę towarzyszowi. Obaj pobiegli, nikt nie zwracając uwagi na perspektywę ulicy, w powietrzu burym od dymu i drgającym od żaru. W pyle ziemi, po której biegli, ich stopy pozostawiły ślady o barwie i konsystencji popiołu.

Dwie tylko osoby siedziały w komnacie tymczasowego pałacu monarchy w Worobiewie. Szerokie strumienie światła, wpadającego przez przestronne okna, obejmowały postać mężczyzny w długim, czarnym płaszczu, wyglądającego jak moskiewski mieszczanin, oraz carskiego dostojnika. Siedząc obok siebie, rozmawiali półgłosem.

- Więc mówisz, że porwano Agafię, córkę Jerzego Glińskiego? - dopytywał się Alam.
- Bez żadnej wątpliwości - potwierdził dostojnik. - Ludzie w habitach, wyglądający jak strygonicy, uratowali ją z pożaru, a potem uprowadzili w nieznanym kierunku.
- Dlaczego nikt im nie przeszkodził?!
- Po prostu nie zauważono tego. Sam wiesz, co się wtedy działo pod domostwem Glińskich.
- I co dalej? Nikt ich nie ścigał, nie dostrzegł, dokąd biegli?
Dostojnik w geście zafrasowania zmierzył swą szpakowatą brodę.
- Rozesłałem ludzi, aby dowiedzieli się czegoś. Niestety, wrócili z niczym. Zamieszanie było takie, wszędzie dym i płomienie, że nie tylko trójki biegnących, ale samego diabła nie spostrzegłoby się w tym chaosie.
- Hm... - Alam poskrobał się w głowę. - Dlaczego jednak nie wyrywała się, nie krzyczała, nie próbowała uciec?
- Bóg jeden wie, co się naprawdę z nią stało - stwierdził dostojnik. - Wiadomo jedno: że carowi na niej zależy, i nie pytaj, dlaczego, bo ci nie odpowiem. A ponieważ rozwiązanie sprawy wydaje się ponad ludzkie możliwości, zlecam je tobie.
Alam zaśmiał się pośpiesznie.
- Czy nie sądzisz, że za moje usługi mogę domagać się jakiejś odpłaty? - spytał zuchwale. Dostojnik nie zwracający przedtem uwagi na familiarny ton Alama nie przestrzegającego żadnej etykiety zachnął się teraz i spojrzął na rozmówcę zimno i jakby złowroźnie.
- Wystarczającą odpłatą niech będzie twoja własna nietykalność. Sam wiesz, co mam na myśli... - zniżył głos do szeptu. - Za to, czego się dopuściłeś, zasługujesz na kilkakrotną śmierć.
W spojrzeniu mieszczanina trudno byłoby doszukać się lęku.
- Nietykalność do czasu, mama to zapłata... - zaczął.
- Prawdę rzekłeś; do czasu... - wtrącił dostojnik.
- Pamiętaj jednak, co mi obiecałeś... - wysyczał Alam po chwili ciszy. - Dasz mi ojca Symeona...
Dostojnik spojrzął na niego z odrazą i jakby z odrobiną lęku.
- Apostato, wieczny odstępczo... - wymamrotał z dziwną mieszaniną smutku i gniewu w głosie. - Czasem mam wrażenie, że nosisz w sobie...
Alam uciszył go gestem dłoni. Pożegnali się szybko. Po jakimś czasie można było dostrzec, jak mężczyzna w ciemnym płaszczu opuszcza Worobiewo, zmierzając traktem ku zachodowi.

Biednie ubrany włóczęga wyglądający na jednego ze skomorochów przemierzających miasta i wsie dobijał się do drzwi domostwa położonego za wałami Targowej Strony Nowogrodu. Był wczesny ranek; mroźne, przejrzyste jak kryształ powietrze osadzało szron na ciemnych belkach dachu budowli. Po chwili okiennice otworzyły się z głuchym stukiem, wyrzła stamtąd głowa zaspanego starca o zmierzwionych włosach.

- Precz stąd, przybłędo! - zakrzyknął, ale po chwili na jego twarzy pojawiło się jakby zaintrygowanie, a potem błysk zrozumienia. - A, to ty... - zamruczał, po czym okiennica znów zamknęła się. Zza drzwi dały się słyszeć odgłosy szurania, postękiwania, wreszcie drewniany skobel ustąpił.

- Wchodź szybko, bo mróz wlatuje do izby... - powiedział starzec gderliwym głosem. Włóczęga wsunął się do sieni.

- Ładnie witasz wędrowców... - stwierdził z cieniem uśmiechu na zarośniętej twarzy.

- Tyle się tu teraz kręci różnych takich... - odburknął starzec, już odwrócony plecami, stukając kosturem po klepisku izby. - Nastazja! Podaj jadło! - krzyknął w głąb domostwa.

Dopiero siedząc nad parującymi miskami strawy, rozpoczęli rozmowę. Starzec pytał przybysza o Moskwę, o to, kto tam teraz rządzi, i czy zabronione jest ścinanie bród.

- Widzę, ojczulku, że utknąłeś głową w starych czasach - zaśmiał się gość. - Nie ma tam już walki możliwych rodów, wszystko dzierży car żelazną ręką!

- Ten dzieciak...?- wyraził powątpiewanie starzec.

- Zamienił się w żelaznego młodzieńca - podsumował Alam sentencjonalnie. Starzec siorbnął jeszcze dwa razy, odłożył drewnianą łyżkę i wytarł usta rękawem.

- A Cerkiew? Czy jak dawniej tkwi w błędach i zaprzaństwie?

Alam znów roześmiał się głośno.

- Widzę, stary, że nie zmieniłeś się przez te lata! - stwierdził z udaną lub szczerą serdecznością. - Uważaj jednak, bo za takie poglądy mogą ci teraz łatwo wyrwać język! Jak będziesz się wtedy dopominał strawy?

Wtedy zdarzyła się rzecz dziwna. Starzec schwycił łyżkę i ze złością zamachnął się na przybysza, pragnąc go uderzyć. Tamten jednak bez trudu i bez specjalnej irytacji odtrącił jego rękę. Drewniana łyżka upadła w kąt izby.

- Uważaj, to już nie te czasy, kiedy ćwicyłeś mnie tu różgami - powiedział Alam wolno i spokojnie. - Chyba nie chciałbyś, żebym połamał teraz w drobny mak tę rękę, która tylekroć odznaczyła ślady na moim grzbiecie?

Starzec uspokoił się również.

- Winienesz mi wdzięczność... - wysapał. - Pamiętaj, że z dobrej woli wzięłem cię tu na wychowanie, gdy twoich rodziców spalono po pogromie stronników Zosimy.

- Tak, tylko że byłeś do tego zobowiązany na mocy tajnego traktatu, i nie myśl, że o tym nie wiem. Starzec wzruszył ramionami.

- A ty sam, jak wywiązałeś się z powierzonego ci zadania? - spytał z chytrym uśmiechem. - Stronnicy Prawdziwego Patriarchy, Marcina, jak słyszę, są w rozsypce... Ci, co przeżyli, podróżują na zachód, na wieczne wygnanie...

- Dość! - tym razem na twarzy przybysza, twarzy o ostrych, południowych rysach, pojawiła się irytacja. - Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy!

Stary człowiek nie odzywał się już. Przybysz jadł w milczeniu, z rozmachem wiosłując łyżką w głębokiej misce.

- Mam do ciebie prośbę z tym związaną... - powiedział potem cicho. - W Moskwie nie mogę się już pojawić, bo czeka tam na mnie stos lub katowski topór... przechowaj mnie tu przez jakiś rok... potem ruszę w dalszą drogę.

Starzec, nie mówiąc nic potwierdził swą zgodę skinieniem głowy.

Dla Alama zaczęły się teraz monotonne, nużące dni. Wczesnym rankiem wychodził poza obwałowania miasta odprowadzany ironicznymi spojrzeciami miejskich strażników, grzejących się przy ogniskach. Wraciał obciążony chrustem, gdy było już jasno. W rozwalających się łapciach i połatanym płaszczu, wyglądał na typowego skomorocha, przygarniętego z litości i wykonującego cięższe prace domowe w zamian za ciepły kąt i resztki jadła. Zdawał się niczym nie różnić od tysięcy włóczęgów, nawiedzających w owym czasie miasta Świętej Rusi. Po powrocie do domostwa swego ojczyma przynosił wodę z miejskiej studni, rozpałał ogień w piecu. Potem, wraz z przybraną matką, Nastazją, gotował strawę dla starca.

A jednak przez cały czas obserwował uważnie otoczenie i tym różnił się od wszystkich wędrownych "bogoiskatieli". Alam dość szybko przekonał się, iż w istocie dom starca nie jest wcale zamknięty dla przybyszów z zewnątrz. Najczęściej o zmroku pukali oni w okiennice, potem wpuszczano ich do przedsionka izby, gdzie otrzymywali odzienie, strawę (którą, co zauważył już znacznie wcześniej, gotowano tu w ilościach znacznie przekraczających potrzeby), a także inne przedmioty o dziwnym przeznaczeniu. Jakie - tego nie zdołał wywęszyć. Z czasem zidentyfikował tych przybyszów. Byli to zwolennicy Prawdziwego Patriarchy, Marcina, spalonego w Konstantynopolu, a także niedobitki strygoników, którzy przybywali, by zobaczyć miejsce męczeńskiej śmierci swego mistrza, diakona Karpa, utopionego w Wołchowie. Gdy zagadywał starca o dziwnych gości, otrzymywał odpowiedzi enigmatyczne i nieszczerze. Oznaczało to, iż nie ma powrotu do dawnych czasów, gdy snuli wspólne plany szerzenia nauki Marcina; starzec nie chce wyjawić całej prawdy o odwiedzających go ludziach i już zawczasu nabiera wody w usta. A więc wcześniejsze kalkulacje Alama okazały się słuszne: dom starca był miejscem, gdzie zbiegały się drogi emisariuszy najważniejszych heretyckich sekt.

Wreszcie nadszedł z dawna oczekiwany moment. Zdarzyło się to, gdy Alam dokładał drewno do ognia. Dlatego też nie od razu zobaczył nowego przybysza. W jednej chwili poczuł natomiast promieniującą od niego niezwykłość, lecz nie odwracał się i pozostał na kolanach, aby go nie spłoszyć. Przybysz uchylił drzwi, a potem, cicho jak sama noc, wsunął się do sieni. Był tak dziwny, że nawet starzec, nawykły do widoku nawiedzonych mężów, zastygł w przerażeniu lub zaskoczeniu. Wszystko to Alam odczuł bardziej niż zobaczył, a jeśli ujrzał - to jedynie kątem oka. Jednak nawet to zerknięcie przypawiło go niemal o zawrót głowy: człowiek ów wyglądał tak, jakby jeden ze starych, omszałych leśnych dębów wszedł nagle do izby. Odzienie gościa wyglądało na co najmniej kilkaset lat; wydawało się uplecione z leśnych pnaczy. Twarz ciemna, prawie czarna, o rysach niezwykle ostrych i wyschłych jak z dębowej kory. Mimo to cała jego postać wydawała się groźna, nasycona wewnętrzną energią. Gospodarz podszedł do gościa i przemawiał z pokorą, na co tamten odpowiadał głosem cichszym niż szelest wiatru, lecz osobliwie sugestywnym. Potem starzec przyniósł mu trochę jadła i jakiś przedmiot w zawiniątku. Sekciarz podziękował skinieniem głowy i zniknął w ciemnościach.

Alam pod jakimś pretekstem wszedł do sieni. W jego nozdrza uderzył osobliwy, niepokojący zapach. Był to bez wątpienia swąd spalenizny, zmieszany jednak z wonią czegoś bardzo starego, pochodzącego z prawieków. Alam pokiwał głową, odnajdując w tym potwierdzenie swoich dawnych domysłów.

Przy wieczornym posiłku uznał, iż nadeszła pora działania.

- Kim był człowiek, który przyszedł dziś do ciebie, ojczulku? - zapytał wprost. Starzec odłożył łyżkę i spojrzał na niego uważnie.

- Strygolnik... - wydukał półgębkiem. - Jeden z wielu pojawiających się w tych stronach... Przychodzi tu co jakiś czas pojadło.

- Ojczulku... - ton, którym Alam przemówił teraz do starca, był złowróżbny. - Pytam cię po raz wtóry, kto to był naprawdę...

Zanim te słowa wybrzmiały pod sklepieniem izby, w dłoni Alama błysnęły sztylet i błyskawicznie zanurzył się w siwej zmierzwionej brodzie. Wytrzeszczone oczy starca patrzyły na Alama i napełniały się strachem. Ostrze coraz silniej przylegało do szyi.

- Należy do sekty samoszigatieli... - wycharczał starzec. - Prawie nic o nich nie wiem... Przychodzi tu bardzo rzadko... mają swoją siedzibę gdzieś w lasach...

- Gdzie?!- pytaniu towarzyszył coraz silniejszy nacisk ostrza sztyletu.

- N... nie wiem.... - niedosłyszalny prawie szept. Pytanie nie zostało już ponowione. Ostrze sztyletu zakreśliło w powietrzu półkole, odrywając się od szyi starca, a uderzając w brzuch. Starzec zgiął się, stuknął czołem w blat stołu, a po chwili spomiędzy jego warg wypłynęła strużka krwawej śliny. Jego ciałem targały wstrząsy konania, po czym zaległa ciężka cisza. Po chwili w tę ciszę wdarł się narastający, choć niejednolity, wysoki dźwięk. To macocha Alama stała przy otwartym na oścież oknie, przeraźliwie krzycząc w ciemności. Zabójca z obnażonym sztyletem postąpił dwa kroki w jej kierunku, po czym, poniekąd swego zamiaru, ruszył ku drzwiom. Z przestrzeni nocy dobiegł tętent galopującego konia, potem wyraźnie słyszalny oddech jego chrap, wreszcie odgłos zeskoku z konia człowieka w kolczudze. Kobieta przestała krzyczeć, zanosząc się tylko szlochem.

- Co tu zaszło?! - pytanie zbrojnego ze straży miejskiej wdarło się do izby wraz z podmuchiem mroźnego wichru. W tym samym momencie ciężka sztaba, zwykle stanowiąca zaporę drzwi, zmiażdżyła hełm strażnika. Upadł jak rażony gromem. Kobieta znów zaczęła krzyczeć, patrząc na to z przerażeniem. Alam podszedł do niej, sparaliżowanej strachem.

- Matko, nie krzycz tak - stwierdził głosem spokojnym i zmęczonym. - Przecież nic mu się nie stało. - I nie wiadomo było, kogo może dotyczyć to, co powiedział, skoro zarówno strażnik jak i starzec leżeli teraz, powaleni własną krwią. Kobieta ucichła, jej rozszerzone przerażeniem źrenice biegały jak oszalałe. Alam odstąpił od niej na kilka kroków, po czym zaczął działać szybko i precyzyjnie: przebrał się w szaty i kolczugę strażnika, przypasał jego miecz, zaś zwłoki starca przerzucił sobie przez ramię i wybiegł w ciemność. Koń zarżał i stanął dęba, czując na grzbiecie obcego jeźdźca, zapach krwi i śmierci. Po chwili jednak, spięty ostrogami, stał się posłuszny i przynaglony rzucił się w galop. W ciemności, pośród majaczących jedynie zarysów domostw, pędził ku zachodniej bramie. Przed ostatnią z chat dogasało ognisko; tajemniczy jeździec zsunął się częściowo z siodła i z nadszpiewaną zręcznością schwycił w galopie płonąca żagiew. Rosła przed nim ciemna ściana grodowych obwałowań. Będąc jeszcze daleko od niej, zaczął krzyczeć:

- Otwierać!! Z rozkazu gosudara!!!

Strażnicy wahali się przez moment, po czym, widząc zbrojnego, poczęli pośpiesznie otwierać bramę. Człowiek w czerni przegalopował przez nią, trzymając pochodnię wysoko nad głową. Zaraz też jeźdźca, rumaka, jak też ich koszarne brzemie, pochłonęła ciemność.

Splątane zarysy gałęzi były ostoją mroku. Potężne pnie stuletnich drzew tworzyły tu kolisko o zarysach trudnych do określenia z uwagi na gęste chaszcze, które otaczały to miejsce. Przez środek polany płynął leniwie strumień o wysokich, trawiastych brzegach i ciemnej, prawie stojącej wodzie. Jej ton, głęboka i nieodgadniona, rejestrować mogła strzępy ćwiercistnienia, unoszące się nad tym uroczyskiem, lub też zimną bezdomność odległych gwiazd.

Był to matecznik puszczy, tak niedostępny, że omijały go nawet najpotężniejsze zwierzęta, najbardziej dzikie i samotnicze. Jedyne jego gośćmi, oprócz ciemności i grozy istnienia, w miejscu tym niemal dotykanej, byli dwaj ludzie, a właściwie człowiek (lub też coś, co miało postać człowieka) i leżąca bezwładnie pod parasolem krzaków istota o kształcie również niewątpliwie ludzkim. A jednak istota ta nie była człowiekiem, demonem raczej, skoro rozświetlał ją wewnętrzny blask, pod wpływem którego jej skóra wydawała się cienkim, napiętym do ostateczności pergaminem. Druga postać, człowiek w czarnym

płaszczu, przykucnięty lub siedzący w pobliżu, tak nieruchomy, że zdawał się niewielką, czarną kolumną, wystawioną ku czci świetlistego medium.

Pośród złożonych form ciemności Alam rozpoczynał przemianę. Jak kwiat rozchylający płatki, otwierał się cały na zewnątrz, w otwarty Kosmos, na jego niepojęty, głębinowy śpiew. Zewsząd dobiegały poruszające się po olbrzymich spiralach cząsteczki wiatru słonecznego, po lewej stronie, w prześwicie gałęzi wysyłała protony nieskończenie odległa supernowa. Alam odbierał także inne źródła promieniowań - dalekie pulsary, zapadające się pod wpływem własnej grawitacji super-gwiazdy o, skrajnie wielkich masach, a także trwający od początku świata, nieprzerwany śpiew Kosmosu - promieniowanie reliktowe. To wszystko dawało mu siłę.

Trwał tak od wielu dni i nocy, skupiając gradienty kosmicznej energii na ciele zabitego ojczyrna. Nie jedząc nic, gasił tylko pragnienie wodą z ciemnego strumienia. Trwał, w ciemności i ciszy, przerywanej jedynie lekkim poszumem wiatru w koronach drzew. Co jakiś czas na polanie rozbrzmiewały ochryple słowa Alama skierowane do świetlistego medium:

- Sprytnie ukryłeś się, ojczyrna Symeorii...! Po czym znów zalegała nie zmacona niczym cisza. Zdarzało się, że Alam zapadał w krótki półsen. Marzenie senne było jedno, powtarzające się za każdym razem i całkiem proste: widział człowieka, jak on obdarzonego mocą, siedzącego w pałacu w dalekim, potężnym grodzie. Na kołpaku, który zdobił głowę tego człowieka, lśniła cesarska korona. Siedzący na tronie mówił do zgiętego w ukłonie dostojnika:

- Nie jest nam już potrzebna. Jeśli ją przywiedzie na dwór, zgładzić go, ją zaś oddać do zabawy strażnikom Kremla!

Budząc się z takiego półsnu Alam patrzył przed siebie spojrzeniem nie apatycznym, ani też przerażonym, ale po prostu pustym.

Pewnej ciemności (gdyż dni i noce wcale tu nie istniały) Alam posłyszał melodię. Cicha i niewyobrażalnie odległa, melodia ta z każdą chwilą potężniała, nabierała mocy i wyrazistości. Wtedy Alam wstał. Początkowo przedzierał się przez krzaki i leśne ostępy, potem zaczęła prowadzić go wąska, niepewna i co chwila zanikająca w runie leśnym ścieżka. Towarzyszył mu inny świetlisty człowiek, którego powołał do życia. Uciekały przed nimi zwierzęta.

Melodia była już głośna, rozbrzmiewała pod sklepieniem jego czaszki tysiącem gongów. A jednak na działanie było za wcześnie i Alam wiedział o tym siedząc na konarze rozłożystego dębu w głębi puszczy. Należało czekać, czekał więc, obserwując fakturę dębowej kory, oświetlonej blaskiem ciała siedzącego obok medium. Co jakiś czas omiatał spojrzeniem polanę, na środku której widniało niewielkie wzniesienie, stworzone ręką ludzką. Wokół nich zaś, przestrzenią rozległą jak morze, rozciągał się niedocieczony las.

O zmroku sekciarze wyszli z puszczy, bezszelestni i niezachwiani w swych postanowieniach. W spokoju zajęli miejsca wokół wykopanej pośrodku polany ziemianki, przykrytej dla niepoznaki darnią. Rozpalili ognisko. Dopiero teraz, w świetle ognia, człowiek w czerni mógł zobaczyć, że są ubrani tak samo w płaszcze z pnączy, jak sekciarz, który przyszedł kiedyś do chaty ojca Symeona. Byli identyczni i wyglądali jak leśne widma, jak niedopalone szczątki żywych niegdyś ludzi.

W tej identyczności dziwny mieszczanin zdołał dostrzec wyłom. Gdy zdjęli kaptury, ogień zaś wznosił się już wysoko, jego odbłask zaigrał nieoczekiwanie na jasnych, a nie jak u innych szaroczarnych włosach jednego z mnichów. Pomimo narzuconego sobie wewnętrznego spokoju Alam odczuł przyspieszone bicie serca. Włosy tego wyjątkowego mnicha, stojącego tyłem do drzewa, na którym siedział wraz z medium, były krótko ostrzyżone.

Sekciarze przystąpili do odprawiania rytualnej ofiary. Jeden z mnichów, o twarzy pociągłej i szarej jak pysk szczura, wystąpił poza koło w stronę buzującego płomienia. Głosem monotonnym i bezbarwnym recytował:

- Ogień zaczął działać na powietrze i stworzył siarkę. Powietrze zaczęło działać na wodę i stworzyło rtęć. Wreszcie woda zaczęła działać na ziemię i stworzyła sól. Bądźcie czujni, albowiem poprzez trzy stopnie rozkładu, poprzez siarkę, rtęć i sól wasze ciało doczesne stawać się będzie prochem i pyłem.

Sekciarze dodali do tego jedno zdanie, brzmiące jak często powtarzany refren: - nie spoczniemy, póki w myśli naszej nie pojawi się mroczny cień Kruka.

Zastygli wszyscy w jednakowym geście, który, jak wiedział czarny mieszczanin, zwany był przez różokrzyżowców "chwytym szyjnym". Po jakimś czasie dwaj sekciarze podeszli do jasnowłosego mnicha. Gdy poprzez niewielki otwór w darni sprowadzali go do ukrytej ziemianki, było już całkiem ciemno; tylko dzięki odbłaskowi ognia człowiek w czerni dostrzegł przez moment jego twarz. Była to twarz piękna, o delikatnych rysach, i mogła, choć nie musiała, być twarzą młodej dziewczyny.

Dwaj "przewodnicy" wydostali się z ziemianki drugim otworem, po czym oba wejścia zostały zasłonięte wiązkami chrustu. Dziwny mieszczanin mocniej ścisnął miecz, na którego obnażonej już klindze kładł się daleki odbłask ognia. Serce waliło mu coraz szybciej i silniej, mimo to zwlekał wciąż, rozciągając oczekiwanie do granic możliwości. Dopiero gdy w obu wejściach do ziemianki ujrzał nowe, jasne słupy płomieni, dotknął delikatnie ramienia medium, które było kiedyś żywym człowiekiem, a potem bezszelestnie zsunął się z gałęzi.

Czarne kontury chmur rozstąpiły się na chwilę, ukazując księżyc prawie w pełni. Podobnie rozsunęły się gałęzie rozłożystego dębu i oczom zebranych sekciarzy ukazała się świetlista postać, której blask przewyższał teraz jasność wszystkich trzech płomieni, rozpalonych na polanie. Oczy sekciarzy rozszerzyły się w przerażeniu, lęku, niedowierzaniu. Stojący bliżej padli na kolana. Po chwili wszyscy zgromadzili się półkolem wokół pnia dębu, na którym siedział świetlisty człowiek. Wtedy zaczął mówić głosem głębokim, niskim, którego samo rozbrzmiewanie pośród puszczy wydawało się niewiarygodne.

- Bóg jeden wie, ile dni minęło od chwili, gdy opuściliśmy świetliste rejony Pleromy. Podążaliśmy w dół czasu, ku stwórcy, Jadalbaoth, otoczeni polem, chroniącym nas przed tchnieniami chaosu. Na krańcach naszej drogi, tam, gdzie czas staje się przestrzenią, widzieliśmy mgliste zarysy nieśmiertelnych Strażników Pleromy, wpatrzonych swym kamiennym wzrokiem w samo źródło czasu. To tu właśnie płakała kiedyś Sophia, stracona przeznaczeniem u wrót komnaty Bóstwa. Z tęsknoty Sophii powstała dusza świata, z jej wątplenia - ziemia, z bólu - woda, a ze strachu - powietrze. Zaś wszechogarniający ogień panuje nad całą resztą... - Słowa medium cichły, zanikając w narastającym skwierczeniu, trzaskach i szumie płonących ofiarnych stosów.

Alam, przebiegając chyłkiem przez polanę, rzucił niespokojne spojrzenie na zgromadzonych pod dębami sekciarzy. Nie poruszali się jednak, jakby zaczarowani. Jeszcze kilka kroków i trafił na wysłedzone wcześniej przez siebie tajne przejście do ofiarnej ziemianki samosżigatieli. Przejście było wąskie i musiał zacząć się czołgać w kompletnej ciemności. W dodatku teraz, gdy oba pozostałe wejścia płonęły, wydostawał się tędy dym, gryzący w oczy i dławiący płuca. Mimo to z zamkniętymi oczyma Alam pełznął dalej.

Po trudnym do określenia czasie, wypełnionym tylko potem i wysiłkiem, tunel skończył się nagle. Alam z ulgą odetchnął nieco mniej zadymionym, choć mocno już rozgrzanym powietrzem. Oczom jego ukazało się przestronne, sklepienie półkuliście wnętrze wykopanej w ziemi komnaty; z dwu stron, tam, gdzie dwa korytarze zmierzały ku wyjściom, docierał nieznośny blask. Alam rozejrzał się, przerażony. Przemknęło mu przez myśl, że być może dziewczyna zrezygnowała już z walki o życie i sama rzuciła się w ogień przy jednym z wyjść, aby skrócić męczarnię. Zaczął miotać się po przestrzeni, która była jakby otwartym brzuchem ognia. Nieznośny żar zmuszał go do zasłaniania twarzy, nie widział prawie nic, napotykał chropowate, groteskowo podświetlone ściany ziemianki, będące zarazem jej sklepieniem. Oto, jak w snach, znajdował się samotny pod kopułą ognia, w stale zmniejszającej się przestrzeni bez wyjścia, a jego serce wypełniało nieskończone pragnienie, które nie ma nazwy. Wydawało mu się, że szczerze i zniknie, że nie pozostanie po nim nawet garstka popiołu, gdy nagle z tej przestrzeni, z tego snu śmierci obudził go czyjś chłód. To było ciało dziewczyny, chłodne poprzez swój wewnętrzny ogień, przeciwstawny żarowi zniszczenia, pustce trawionego przez nicłość Kosmosu.

- Jestem twoim cieniem - powiedziała. - Jestem piaskiem, spadającym na kolumnę żaru, w które się zamieniasz. Jestem niewidzialną nicią, wokół mnie obracają się gwiazdy...

- Jesteś przeznaczeniem... - dopowiedziały niesłyszalnie usta Alama, który nie był nawet pewien, czy ten nierealny dialog w komnacie z ognia ma miejsce naprawdę. Chwilę potem zrozumiał, że słowa nie są, nie były nigdy potrzebne - od prapoczątku aż do tego spotkania w ognistej świątyni, a także później, przez całe eony trwania. Przechodzili z jasności w ciemność i znowu w jasność, nieświadomi przemian otaczającej ich materii. Tak jakby Kosmos mógł istnieć, gwiazdy i galaktyki - wirować w tajemnym porządku, według własnych, nieodgadnionych praw - a oni istnieli w jakimś nadcześnie, w pełniej orzeźwiającego napoju czarze o kosmicznych rozmiarach, którą Wszechświat gasi nieskończone pragnienie.

Obudził ich realny żar płomieni, sięgających już niemal skóry. Nie przerażało ich to, Jak nie przerażała śmierć - a jednak żar i płomień, tryskające zewsząd snopy iskier zmusiły oboje do zasłonięcia twarzy. Intuicja ognia nie była im obca, mieli go już przecież w sobie, płomień zewnętrzny wydawał się więc logicznym dopełnieniem, koniecznością, wyrokiem. Choć ciała kuliły się w lęku przed końcem, nie było go przecież w nich samych. Mimo to Alam poszukiwał jeszcze w otaczającej go przestrzeni przyjaznych źródeł mocy. Wiedząc, że są skazani, instynktownie szukał ostatniej szansy.

Znalazł ją, niemożliwe stało się faktem. Na wprost jednego z wyjść, zasłoniętych teraz przez ogień, odnalazł na nieboskłonnie punkt, gdzie pośród gałęzi migotał odległy Arktur. Poczuli nic mocy, wiążącą go z

tą gwiazdą. Schwycił ją - gest umysłu, podobny zaciśnięciu mięśni palców, dłoni, przedramion - w płomieniu otworzył się tunel, a gardziel żaru wypłuła ich na zewnątrz, w chłodne powietrze, i wyżej, ponad koronami drzew, ponad zatartymi w ciemności płaszczyznami lasów - dążyli wciąż wyżej i wyżej, w chłód i ciemność, aż czerń wchłonęła ich w siebie i uznała za swoich. Zaś ich ciała biegly jak zwierzęta w ucieczce, klucząc w pozostałej gdzieś nisko pod nimi, nieobjętej przestrzeni.

Za plecami członków sekty dopalał się ofiarny stos. Nie widzieli tego, zajęci osobliwymi przemianami świetlistego człowieka, który przemawiał do nich z gałęzi drzewa. Jego słowa rwały się bowiem, a cała postać świeciła coraz słabiej, niekiedy jarząc się jedynie słabiutkim blaskiem przypominającym fluorescencję próchna. Dopiero po długiej chwili do sekciarzy klęczących najbliżej drzewa dotarł fetor rozkładu. Jeden z mnichów najpierw poruszył się niespokojnie, a potem poderwał się z klęzek.

- Kłamstwo! - krzyknął chrapliwym głosem. - To tylko ożywiony trup!

Wtedy blask postaci na drzewie zgasł całkiem. Medium, będące już tylko nieżywym człowiekiem, osunęło się bezwładnie. Rozległ się głuchy odgłos upadku ciała na ziemię. Członków sekty opanował niepokój. Wśród gwałtownych słów, które wymieniali między sobą, najczęściej powtarzały się "kłamstwo" i "zdrada". Jak mrówki zaniepokojone obcą ingerencją w ich życie złożone z instynktu i rytuału, rozbiegli się po polanie, gorączkowo poszukując sprawcy zuchwałej mistyfikacji.

- Ofiara! - krzyknął ten, który przewodniczył ceremonii. - Czy ofiara została złożona?!

Odpowiedział mu tylko chór chaotycznych pomruków, gdyż członkowie sekty nie mogli wejść do żarzącej się jeszcze, podziemnej izby. Wtedy sam "przewodnik" roztrącił stłoczonych u wejścia do ziemianki sekciarzy i bez obawy zszedł na dół po rozżarzonym popiele, do pomieszczenia, w którym panowała temperatura nie niższa, niż w rozpalonym piecu chlebowym. Sekciarze zamarli w bezruchu. Z wnętrza pomieszczenia dobiegł przeraźliwy krzyk, zgłuszony przez warstwę ziemi. Zaraz potem człowiek w habicie z pnączy wyłonił się z drugiego wejścia. Jego ciałem wstrząsały drgawki. Zwrócił ku pobratymcom twarz całą w bąblach poparzeń i dopiero wtedy sekciarze przerazili się naprawdę. Znaczyło to, iż magia ich przywódcy została pokonana przez niepojętą moc i to w punkcie, gdzie powinna być najsilniejsza - ogień odmówił mu posłuszeństwa.

- Ścigać ich! - wydobył się głos spomiędzy popękanych warg. - Ścigać i spalić w imię Stwórcy, przeciwko Najwyższemu. .. - nie mógł już mówić, runął bezwładnie na ziemię. Jego myśl lub myśl inną, która nurtowała teraz umysły członków sekty, dopowiedział stojący najbliżej: - Jeśli ofiara nie zostanie dopełniona, przed równonocą cały nasz świat ulegnie spaleniu.

Słowa te, choć wypowiedziane cicho i jakby tylko do siebie, wywarły na wszystkich wielkie wrażenie. Członkowie sekty poczęli gromadzić się wokół człowieka, który je wypowiedział; zdawali się błagać go: przewodź nam, prowadź, musimy ich odnaleźć. Zawładnięci bez reszty przez śmierć w głębi swych dusz, tam, gdzie trwa pamięć zachowań owadów, odnaleźli praźródło samoorganizacji. Gromada postaci w habitach z pnączy zagłębiła się w las, pozostawiając na polanie dwóch martwych i dopalające się zgliszczą.

Odnaleźli schronienie w głębi lasu, w niewielkiej, polodowcowej jaskini znanej tylko lisom. Choć nie patrzyli na siebie zbyt często, czuli łączącą ich więź, teraz już nie do zerwania. Alam zapolował i przyniósł na kolację królika, którego upiekł, rozpalając niewielkie ognisko. Obserwował przy tym dziewczynę z dużym zainteresowaniem, pozornie będąc zupełnie obojętny. Uznał, że tak będzie lepiej. Zaś ona zmieniała się wciąż, posłuszna rytmowi upływających chwil. Kiedyś bojarska córka, nie odbiegająca zapewne zachowaniem i charakterem od obyczajów swej kasty przypominała teraz dzikie, nieufne zwierzę, a chwilami triumfującą Amazonkę, jakieś nowe wcielenie królowej Penthesilel. Zmienna i ruchliwa jak płomień - Alam nie mógł odnaleźć lepszego określenia - zdawała się być jego drugą duszą, będąc zarazem zupełnie obcą, zagadkową istotą. To połączenie, wydawałoby się, zupełnie niemożliwe, w niej jednak stawało się rzeczywistością. Jej subtelny profil, piękna głowa o krótkich, nieporządnie obciętych włosach, delikatne ciało - mogłoby myśleć, że zna je od wieków - teraz tonące w fałdach nienawistnego, uplecionego z pnączy habitu - wszystko to mogłoby należeć do istoty nadludzkiej, do jednego z owych ogniasto-powietrznych bytów, które Grecy zwali dajmonami. Mając w oczach ten obraz myślał o niej i o sobie, o tym, że jego przeznaczenie jest do spełnienia tylko poza światłem, że jest wręcz tego światła zaprzeczeniem. Jak mogłoby wiązać ze sobą ją, świetlistą istotę o duszy pełgającego płomienia.

Zwiesił głowę i objął rękami, czując, że światłość i mrok walczą w nim zawzięcie. Nie mógł przerwać milczenia, przestrzennej ciszy, w której dało się słyszeć jedynie dźwięk spadających gdzieś w głębi jaskini kropel, a z dala - przerażone krzyki ptaków obudzonych nagle przez polującego nocą drapieżnika. Zniewolony wewnętrzną walką, nie mówił nic, nie czuł, był jedynie powietrzem, pustką po sobie samym.

- Kim wreszcie jesteś? - głos, wydobywający się z gardła, należał do kogoś obcego. Nie podnosząc wzroku, czuł jej przemieszczanie się w przestrzeni, wiedział, że się zbliża.

- Jestem z tobą... - nierealny niemal głos roztopił się w ciepłe jej ciało. Spojrzał, była blisko, oczy patrzyły z miłością silniejszą od milczenia. Zanim ich oddechy splotły się we wspólnym rytmie, rzucił spojrzenie krótsze od najkrótszej myśli na obnażone ostrze kindżału, leżącego w zasięgu ręki. Wiedział już, że zrobi to, będzie musiał to zrobić.

Gdy zasnęła, zmęczona, u jego boku, delikatnie wyplątał się z objęć. W jaskini panowała już całkowita ciemność, tylko jeden czerwony ogień żarzył się w popiołach ogniska. Gdzieś na dnie tej ciemności usłyszał melodię, cichą i zamierającą w beczuciu, a jednak z każdą chwilą potężniejszą. Jego dłoń dotknęła rękojeści broni, zaś palce zacisnęły się na niej same, czując aż nadto znajomy kształt. Odwrócił się w stronę uśpionej dziewczyny, ogarniając ją wzrokiem.

Wysoko między koronami drzew świecił księżyc w pełni, napełniając widmowym blaskiem splecione gęstwy konarów, rzucając na leśne poszycie ich fantastyczne cienie. Srebrzysto-biała tarcza o nieskazitelnie równych brzegach górowała ponad przestrzenią lasów, przesuając się wolno i niezauważalnie, z nieubłaganą konsekwencją - niemy świadek walki na śmierć i życie, tajemnic czających się w mroku. To wszystkowiedzące oko, groźne i zagadkowe, niosło zarazem uspokojenie, nasuwając myśl o gładkiej, zimnej toni śmierci, która w końcu pochłonie wszystko, a po najzaciętszej walce przyjdzie czas na spokój. Było tak, jakby gdzieś w głębi lasów istniało owalne jezioro, gdzie wody są nieruchome, chłodne i czarne, i jakby pewnej nocy wody tego jeziora podniosły się, zatapiając wszystko - lasy i polany, drzewa, krzewy, zwierzęta, i jakby ciemna toń podnosiła się ku niebu, ku chłodnej, nieosiągalnej, srebrzystej tarczy. Było tak, bo gdyby ktokolwiek znalazł się w głębi puszczy w czasie, gdy noc dokonuje przesilenia, walcząc sama ze sobą - odczułby wokół siebie tę odwieczną, nieruchomą toń, która, choć nie dławiąc gardła, łagodnie obejmuje ciało i unosi z sobą w nicłość, nie mniej prawdziwa od rzeczywistej wody.

Po jakimś czasie chłodny blask księżycy przybladł nagle, lekko zamilkły odgłosy nocnej aktywności puszczy. Równym, spokojnym, niezachwianym ruchem właściwym doskonałemu w swej martwocie światu planet, na srebrzystobiałą tarczę nasuwał się cień Ziemi.

Z ciemnego, owalnego otworu - wejścia do jaskini zagubionej w głębi puszczy, wyszedł człowiek w czarnym płaszczu. Przystanął na chwilę, omiół otoczenie niewidzącym wzrokiem, uniósł bladą twarz ku niebu, w stronę srebrnego, przyciemnionego teraz blasku. Odetchnął głęboko, jakby wchłaniając w siebie całą niewidzialną toń, której powierzchnia wyniesiona była już daleko ponad szczyty koron drzew. Powiał wiatr, gałęzie przemieściły się i światło księżycy wyłoniło z ciemności stał, której jednolitość mąciły ciemne plamy. Człowiek w czerni zachwiał się, jego groteskowo wydłużony cień zanikał w gęstwinie zarośli. Zrobił kilka chwiejnych kroków, jakby chroniąc się przed upadkiem, wciąż z twarzą zwróconą ku niebu. Znowu przystanął, po czym ruszył, nadal słaniając się, a mimo to z widoczną świadomością celu wędrówki. Bez reszty zanurzony w oceanie śmierci, przynależał do świata mroków. Firmament stał się dlań nieprzenikalną, czarną kopułą, poza którą sploty magnetycznych pól kipiły od kosmicznej energii. Ostatecznie wyrzucony poza przestrzeń ładu stanowionego przez Boga - żył, czuł, myślał. Droga jego istnienia była jeszcze otwarta.

Świt barwił niebo od wschodniej strony, przesączaając się przez gęste korony drzew ledwie widocznymi pasmami blasku, gdy z owalnego, szarego teraz otworu jaskini wychyłała postać w habicie z pnączy. Jej delikatna twarz naznaczona była wyrazem skupienia i uwagi. Przystanąła na niewielkiej polance przed jaskinią, rozejrzała się uważnie. Wyprostowała ręce, kierując wewnętrzną stroną dłoni ku ciemnej, górującej zewsząd nad polaną, ścianie lasu. Trwała tak, dopóki do jej uszu nie dobiegł odległy tętent kopyt. Po chwili, od strony, gdzie zanikała noc, dał się słyszeć wyraźny trzask gałęzi, łamanych przez duże zwierzę. Potem coraz wyraźniejszy tętent i oddech końskich chrap. Ściana lasu rozwarła się i na polanę wbiegł z ciemności piękny, biały rumak. Przez chwilę, podniecony pędem, galopował jeszcze wokół polany, parując i podrzucając białą grzywą. Potem zwolnił i z zaskakującym spokojem przystanął w pobliżu postaci w habicie. Kobieta podeszła i delikatnym, łagodnym ruchem pogładziła go po pysku. Pogładziła go jeszcze po grzywie, bawiąc się jej długimi, spletanymi, srebrzystobiałymi włosami. Szybkim skokiem znalazła się na grzbiecie rumaka, który ruszył zaraz stępa, a potem coraz szybciej, niewidocznym niemal szlakiem poprzez chaszczki i zarośla. Koń i jeździec stanowili teraz nierozdzielalną całość, bladą strzałę pędzącą pośród puszczy, bardziej mglistą od snu, szybszą od złudzenia. Galopowali szlakiem śladów czyichś stóp, które dla kobiety dosiadającej konia jarzyły się w szarówce blaskiem silniejszym od świtu. Pędzili tak, poprzez nieskończoną puszczy, poprzez wciąż nowe pasma szarówki i mroku, coraz dalej od

owalnego otworu wejścia do jaskini, w której poblizu strzępy kilkunastu habitów uplecionych z pnączy przykrywały spopielone szczątki.

Marek Pąckiński